WORLD OF WARCRAFT · OPOWIADANIE

NIEUGIĘTY

Sean Copeland

Przekład fanowski: projekt WoW Po Polsku (Loe'Aner)

Ostrze szkarłatnego krzyżowca rozbłysło Światłością i jednym cięciem strąciło Porzuconej głowę z ramion. Dwaj paladyni stojący nieopodal zawiwatowali, jakby oglądali sztuczkę kuglarza na Festynie Lunomroku, a nie egzekucję.

– Morderca! – wychrypiał spętany Porzucony.

– Zabawne, zwłaszcza w ustach przeklętego trupa – odciął się krzyżowiec.

Cormack lekko przechylił głowę. Tego głosu nie zapomniałby nigdy, a wspomnienia, które budził, nie niosły ani krzty radości. Daleki krewny. Przyjaciel. Brat w boju.

Jego morderca. Szkarłatny Krzyżowiec Arec Mistmantle.

Cormack patrzył na to z oddali żółto jarzącymi się oczami, które ani razu nie mrugnęły. Znieruchomiał jak coś, co zapomniało już o oddechu. W dłoniach, którymi rozgarniał krzaki, zaczęła się zbierać nikła poświata Świętej Światłości, a martwa skóra pod jej dotykiem z wolna się goiła. Nagle zapiekło, jakby ręce zajęły mu się ogniem, i odruchowo nimi strzepnął. Poświata przygasła, a wraz z nią ustąpił ból.

Człowiek, który dotąd majaczył jedynie w strzępach rozbitej pamięci, stał teraz przed Cormackiem z krwi i kości. Zbroja lśniła bez jednej rysy, płaszcz nie miał ani plamki; taką czystość zachowują jedynie ci, którzy na pole bitwy wychodzą tylko z musu. Palce Cormacka zacisnęły się na trzonku młota bojowego. Nie pamiętał, kiedy zdjął go z pleców.

– Krzyżowcy! Uczcijmy te łowy stosem. Oczyścimy potwory ogniem ku czci kogoś naprawdę zasłużonego. Niech no pomyślę… Do tego potrzeba prawdziwego wzoru cnót Światłości.

Arec pstryknął palcami, udając, że właśnie go olśniło. Na myśl o imieniu, które zaraz miało paść, okrutny uśmiech rozciągnął mu usta jeszcze szerzej.

– Wiem, czyja dusza będzie w sam raz. – Odwrócił się, strzepując z pancernej rękawicy niewidoczny pyłek. – Gavinrad Potężny.

Na dźwięk tego imienia coś w Cormacku pękło, choć sam nie wiedział dlaczego. Z głębi gardła wyrwał mu się ryk: – ZDRAJCO!

Z zarośli, w których się ukrywał, wystrzelił młot ukuty z czystej Światłości i trafił Areca w pierś. Nie rozległ się łoskot, lecz grzmot. Młot uderzył z taką siłą, że wgniótł płyty zbroi i cisnął krzyżowcem o ziemię, aż grudy bryznęły na wszystkie strony.

Zanim pozostali krzyżowcy otrząsnęli się z zaskoczenia, Cormack już pędził na nich z młotem w garści. Jeden odruchowo poderwał ostrze, żeby zagrodzić mu drogę, ale Cormack powalił go z pogardą, niemal od niechcenia, a za każdym zamachem młota ciągnął się szept Świętej Światłości.

– Trzeba było zostać w ziemi – wysapał Arec, dźwigając się chwiejnie na nogi. – Za to teraz będę miał przyjemność zabić cię dwa ra…

Drugi Młot Światłości uciszył krzyżowca w pół słowa. Kość i stal zgniotły się w jedno z takim chrzęstem, że aż miło było posłuchać; hełm nie nadawał się już do niczego i Arec musiał zerwać go z głowy. Mimo to natarł nienaturalnie szybko, bo Święta Światłość goiła mu rany i dodawała ciosom rozpędu. Ciężki młot Areca spadł na lewą dłoń Cormacka i zmiażdżył ją, niemal odrywając od ręki. Cormack wrzasnął i odskoczył, żeby obejrzeć ranę. Dłoń zwisała wykręcona pod paskudnym kątem, a posoka lała się z niej strumieniem.

Arec podchodził do niego powoli, gotów dobić go młotem.

– Pora umierać, potworze.

– Nareszcie.

Arec napiął mięśnie, by resztką sił, jakie zostały w poobijanym ciele, spuścić młot na twarz Cormacka, po której błąkał się drwiący uśmieszek. Cios nie spadł. Z góry, prosto w odsłoniętą głowę krzyżowca, runął Młot Światłości. Krew z rany zalała Arecowi oczy, a świat zakołysał się pod nim. Przez chwilę zdawało się niemożliwe, że w ogóle jeszcze stoi. A jednak stał, trzymany na nogach już tylko hardością.

Hardością, która miała mu dać jedynie tyle, że wyraźnie zobaczy ostatnią rzecz w swoim życiu.

Dzieliło ich zaledwie kilka kroków. Cormack przebył je tak przerażająco szybko, jakby prześcignął własny cień. Wpadł na Areca z impetem i zamknął go w uścisku, okrutnej parodii niezliczonych rodzinnych objęć sprzed lat.

Szczęki Cormacka rozwarły się szerzej, niż kiedykolwiek mogły za życia, a zęby wbiły się w mdło słodkie mięso odsłoniętego gardła Areca. Krzyżowiec wytrzeszczył oczy w osłupieniu. Cormack zwarł szczęki ze wszystkich sił i szarpnął z dziką furią. Mięso rozdarło się jak mokre płótno. Krew chlusnęła na zbroję i ziemię. Kiedy strzępy gardła wyśliznęły się Cormackowi spomiędzy zębów, Arec wydał z siebie mokry, bulgoczący charkot.

Przez krótką chwilę trwali jeszcze w śmiertelnym uścisku, aż wreszcie Areca opuściły siły. Osunął się na ziemię, a Cormack stał nad nim; krew spływała mu po podbródku i kapała z powrotem na ofiarę.

Zapadła cisza. Nie była jednak zupełna: wciąż szczękały płyty zbroi, bo ciało tłukło się w agonii o ziemię. Arec w pełni na to zasłużył. Mimo to w głowie Cormacka zakołatało pytanie: *Czym ja się stałem…?*

Cormack stał sam pośród szczątków karawany Porzuconych i ciał tych, którzy na nią napadli. Dopiero teraz przypomniał sobie o ocalałych. Nie było ich; musieli uciec, ledwie zaczęła się walka. Ślady na ziemi zdradzały paniczną ucieczkę: jedni biegli, inni się czołgali, a każdy chciał tylko znaleźć się jak najdalej od pola bitwy.

Ból, który Cormack dotąd trzymał na wodzy, nagle powalił go na kolano. Ciepło, które za życia znał tak dobrze i które zawsze niosło mu ukojenie, po śmierci stało się udręką.

Ilekroć Cormack wzywał Świętą Światłość i zmuszał ją, by pełzła przez jego strzaskane ciało, skutek był zawsze ten sam: zszywała mięso, które z natury nie chciało się zrastać, i wydzierała palący ból z martwych nerwów, które nie miały prawa się przebudzić. Chwycił

okaleczoną dłoń, nastawił ją tak, żeby znów na coś się zdała, i zebrał siły, by przepuścić przez nią Światłość.

Zaczął szeptać modlitwę, cichą i szczerą prośbę, by Światłość uleczyła mu zmiażdżoną dłoń. Odpowiedziała tak jak zawsze, odkąd umarł. Gwałtownie i bezlitośnie.

Światłość wdarła się w rany i czas przestał się liczyć. Pogruchotane kości zrastały się na siłę. Gnijące mięso naciągało się na dłoń wszędzie tam, gdzie przeświwytywała naga kość. Każdy gojący się cal płonął bólem tak obezwładniającym, że przed oczami Cormacka świat utonął w oślepiającej bieli. Żeby nie stracić przytomności, wgryzł się w trzonek młota i wył, aż coś trzasnęło mu w szczęce. Zaraz potem zaczęła się goić i szczęka, a nowy ból dołączył kolejnym głosem do symfonii cierpienia, która rozbrzmiewała w całym jego jestestwie.

Wreszcie Światłość przygasła i przyszła błogosławiona ulga. Cormack wciąż klęczał, a pierś unosiła mu się i opadała, naśladując oddech. Minęło sporo czasu, zanim zebrał dość woli, by wstać.

Kiedy podniósł się z kolan, spojrzał na tabard zwisający mu z ramion. Niegdyś nieskazitelnie biały, nosił na sobie czerwony płomień powołania, wiary i pewności. Teraz zostały z niego strzępy, tak samo jak z ciała, które okrywał.

Machinalnie przesunął dłonią po zniszczonej tkaninie. Przez chwilę znów widział tabard takim jak w dniu, gdy po raz pierwszy okrył mu ramiona: jaśniał, jakby biła z niego sama Światłość, a na barkach spoczywał ciężar powołania, nie śmierci. Tabard Szkarłatnej Krucjaty.

Cormack ruszył tropem nieumarłych uciekinierów. Dręczyły go pytania o to, co się z nim stało, a odpowiedzieć na nie mogli tylko oni. Uznał, że skoro ich ocalił, tyle przynajmniej są mu winni. Im dalej szedł ich pospiesznym, bezładnym śladem, tym ciaśniej obstępował go las. Choć Światłość wyczerpała go do cna, nawet w tym stanie nie mógł nie zauważyć, że gęstwina przed nim jest zbyt cicha… zbyt czujna.

Przez całą drogę czuł na plecach cudzy wzrok. Szedł za nim krok w krok, tak jak on szedł śladem uciekinierów, i to bliżej, niżby sobie życzył. Ale to, co lustrowało go z oddali, nie było ani zwierzęciem, ani żadnym z ocalałych, których szukał. O nie. To było coś innego.

Coś o wiele cierpliwszego.

Nietrudno było iść ich śladem. Kto ucieka w panice, nigdy nie zaciera za sobą tropów.

Cormack szedł przez gęsty las równym, niespiesznym krokiem, a buty zapadały mu się w tę samą miękką ziemię, którą w pośpiechu rozryły stopy uciekinierów. Połamane gałązki, płytkie bruzdy tam, gdzie ktoś wlókł za sobą nogi, tu i ówdzie smuga posoki. Drogowskazy dla każdego, kto umie je czytać. Nie odeszli daleko.

Gdy drzewa się przerzedziły, ujrzał ich obóz, choć trudno go było tak nazwać: ledwie gromadka obdartych ciał, które udawały, że odpoczywają. A jednak kiedy Cormack się zbliżył, wszystkie głowy zwróciły się ku niemu.

Rozpoznali go od razu. Nie po twarzy, lecz po tabardzie. Wszyscy prócz jednej osoby unieśli drżące ręce. Naprzód wystąpiła nieumarła kobieta w długiej, powłóczystej szacie, połatanej i podartej. Oczy płonęły jej chorobliwym, żółtym blaskiem, który nie miał nic wspólnego z życiem.

Cormack przyjrzał im się bez słowa. – Dobrze, że was znalazłem.

Kobieta odpowiedziała w imieniu wszystkich: – Żeby nas dobić?

Cormack prychnął. – Nie bądź głupia. Po co w takim razie miałbym wam pomóc?

Drwina w jej głosie ustąpiła miejsca gniewowi.

– Pomóc?! Zniszczyli wszystko! – Zaśmiała się z bezsilnej złości. – Nawet nasze życie! Przecież to przez twoją przeklętą Krucjatę w ogóle jesteśmy martwi!

Cormack powoli, z rozmysłem przechylił głowę. – Wątpię – rzekł. – Po prostu nie byłaś dość silna, żeby obronić to, co się liczyło.

Nie chciał jej obrazić, ale dla niej te słowa były potwarzą. Twarz, przed chwilą rozpalona gniewem, stężała w zimnej żądzy mordu. W dłoniach zaczęły się jej zbierać ogniste drobiny; wirowały bezładnie, ściągając się do środka. Nagle wokół jej rąk buchnął ogień, a powietrze zatrzeszczało, gdy żar starł się z nocnym chłodem.

– Powiedz. To. Jeszcze raz.

Cormack nie musiał powtarzać. Znał to spojrzenie, widywał je niezliczone razy na twarzach żywych. Żadne słowa nie mogły już odwrócić tego, co miało nastąpić.

Ognista włócznia z wizgiem przecięła powietrze, mknąc prosto na niego. Nie była czysta i opanowana jak zaklęcia innych magów, które widywał; leciała wściekła i rozedrgana. Musnęła go po ramieniu i naramiennik w jednej chwili rozpalił się od żaru. Lecz ogień czarodziejki był niczym ciepły powiew wobec palącego bólu, jaki przynosiła mu teraz Światłość, ilekroć odpowiadała na jego wezwanie.

Cormack wyszeptał krótką modlitwę i runął naprzód, a Światłość dodała mu sił.

Na ten widok czarodziejka zaklęła i zaczęła wznosić wokół siebie barierę magii tajemnej; z jej ust posypały się słowa o runicznym brzmieniu. Ostre, szybkie, wyćwiczone. W powietrzu rozbłysły tajemne runy, zachodząc jedna na drugą, a sama rzeczywistość wyginała się, by zrobić miejsce czarom.

Cormack nie mierzył młotem bojowym w czarodziejkę, lecz w ziemię tuż przed nią. Wstrząs cisnął grudami na boki; miał rozbić jej skupienie, tak jak uczono go w Szkarłatnym Klasztorze. Ziemia rozstąpiła się pod młotem, ale czarodziejki już tam nie było.

Z wyciem uderzył go w plecy lodowaty wicher. Szron popełzł po zbroi, skuł jej ruchome części, wcisnął się w szczeliny i przymroził mu tabard do piersi.

Czarodziejka zdążyła już zmienić miejsce i znów poruszała dłońmi, szykując kolejny atak. Magia tajemna wystrzeliła naprzód lodowatym podmuchem; mróz był tak przenikliwy, że przestrzeń między nimi ścięło lodem, a samo powietrze zmieniło się w kryształ. Cormack szarpał się w lodowych okowach. Światłość buchnęła z niego, nie z potrzeby obrony, lecz z hardości. Jej moc – a może jego krzyk, sam nie wiedział – rozdarła lód, rozcięła powietrze i pożarła wszystko w równej mierze.

Za Światłość przyszło zapłacić od razu, bólem nie do zniesienia. Gnijące ciało pękało wszędzie tam, gdzie święta moc przebijała się na zewnątrz. Po rękach ściekała posoka, sycząc i parując bez śladu tam, gdzie resztki Światłości zasklepiały rany. Nie zatrzymał się.

Czarodziejka znów umknęła w bok. Hardość Cormacka wyraźnie wytrąciła ją z równowagi. Paladyn dopadł ją, zanim zdążyła dokończyć zaklęcie. Młot zatoczył bezlitosny łuk. Czarodziejka zaparła się, czekając na cios, ale nie przerwała inkantacji, licząc, że bariera ją osłoni. Bariera rozprysła się w okruchy, ledwie młot jej dosięgnął.

Cormack mierzył w głowę, lecz obuch trafił czarodziejkę w tułów; i tak siła ciosu wystarczyła z nawiązką. Żebra pękły z trzaskiem. W powietrze prysnęły odłamki kości i strzępy skóry. Zaklęcie, które rosło w jej dłoniach, rozpadło się i nagle wybuchło, a fala tajemnej mocy odrzuciła ich oboje w przeciwne strony.

Chwilę później czarodziejka spróbowała się podnieść, lecz Cormack stał już nad nią z uniesionym młotem. W ostatniej chwili przetoczyła się w bok, a obuch spadł z taką siłą, że tuż obok jej głowy wybił w ziemi niewielki lej.

Czarodziejka gwałtownie uderzyła w niego krótkim wybuchem magii tajemnej. Bez kształtu, bez wzoru, bez przygotowania. Tylko surowa siła, ciśnięta prosto w cel. Cormack wytrzymał cios. Światłość znów rozbłysła i znów zawył z bólu. Okutą w stal dłonią chwycił

czarodziejkę za gardło, uniósł nad ziemię i z całej siły grzmotnął jej gnijącym ciałem o grunt, ani na chwilę nie rozluźniając chwytu.

– Precz.

Rozkaz padł cicho. Światłość usłyszała jego wezwanie i odpowiedziała. Z dłoni Cormacka wystrzelił oślepiający błysk Światłości i wdarł się w pojmaną czarodziejkę. Złocisty, promienny, bezlitosny egzorcyzm. Święta moc wlała się w nią, popełzła w górę po twarzy i w dół po tułowiu, paląc każdy cal nieumarłego ciała, jakby było nasączone oliwą.

Cormack wrzasnął, bo Światłość paliła jednakowo pojmaną i tego, kto ją wezwał. Wężem pięła się po jego ramieniu i wypalała sobie drogę przez zrujnowane ciało, tak samo jak przez ciało czarodziejki. Palce odruchowo zacisnęły mu się mocniej na jej gardle, a szczęki zwarł tak mocno, że popękały zęby.

Przygwożdżona do ziemi czarodziejka miotała się w konwulsjach, a Święta Światłość pożerała ją kawałek po kawałku. Cormack pochylał się nad nią, a jego pierś unosiła się i opadała, choć nie było w niej oddechu.

Światłość wciąż paliła mu ramię, pożerając jego tak samo jak ją. Ból wkrótce odebrał Cormackowi siły; chwyt zelżał, a rozkaz zaczął tracić moc.

– Dość – wychrypiał.

Palący żar litościwie ustąpił, a Światłość zgasła równie nagle, jak się zjawiła, gdy ją wezwał. Wszystko wokół zastygło w złowrogim bezruchu. Czarodziejka zakasłała, splunęła przed siebie posoką i zaśmiała się przez ból.

– A niech mnie diabli wezmą… drugi raz – wykrztusiła. – Więc jednak jesteś taki jak my.

Cormack nic nie powiedział. Nie musiał: jego palce z wolna puszczały jej gardło i to mówiło więcej niż milczenie.

– Wiem, co widzisz – wycedziła. – Plugastwo. Coś, co trzeba bez litości wytępić. – Wbiła wzrok w jego tabard.

– A ty jeszcze się przyglądałeś, jak tamci mają uciechę, zanim ich powstrzymałeś. Dlaczego, krzyżowcze? Też ci się podobało? Powiedz, tak między nami, plugastwem: kto tu jest prawdziwym potworem?

Cormack zamknął oczy i wypuścił powietrze; ten odruch został mu z czasów, gdy jeszcze oddychał. Czarodziejka czekała, aż przyjdzie jej zapłacić za te słowa, ale odwet nie nadszedł.

Cormack ją puścił, ale nie wstała od razu, jakby spodziewała się podstępu. Po chwili jednak podniosła się i podeszła prosto do niego. Blisko. Za blisko. Cormack nie drgnął. Nachyliła się i badała go wzrokiem, w którym tliło się coś, co kiedyś mogło być ciekawością. Potem cofnęła się o krok i sięgnęła palcami we własną twarz.

Kościste, ostre jak kolce palce wbiły się w policzek i obojętnie, bez cienia troski, rozdrapywały martwe mięso, a ona ani na chwilę nie spuszczała z Cormacka wzroku. Nagle znieruchomiały i wyrwały się z policzka. Między nimi wił się czerw. Czarodziejka pstryknęła nim w Cormacka. Robak trafił go w twarz i spadł.

– Nikt tego nie chciał – powiedziała spokojnie. – Stać się kpiną ze wszystkiego, czym byliśmy za życia. Dzień w dzień chodzić na smyczy obcej woli, która każe ci robić rzeczy, o jakich nie godzi się nawet mówić. A kiedy wreszcie odzyskasz wolną wolę, żyć w świecie, który widzi w tobie tylko coś, czego trzeba się pozbyć. Dopiero wtedy jesteś naprawdę Porzucony.

Cormack mocniej zacisnął palce na trzonku młota, który trzymał u boku.

– Ale nasza Mroczna Pani to wszystko zmieniła – ciągnęła czarodziejka. – Nadała sens temu, czym jesteśmy. Wykroiła w tym nędznym świecie miejsce, w którym nie musimy bez przerwy oglądać się przez ramię ani zastanawiać, czy w ogóle zasługujemy na istnienie.

Wskazała pozostałych. – Mieć choć jedno miejsce w całym Azeroth, gdzie nikt nie próbuje wpędzić cię z powrotem do grobu. – Zaległa cisza.

– Jeśli śmierć cię przerasta, chętnie pomożemy ci wrócić. – Na jej wargach zarysował się cienki uśmiech, a pozostali ocaleni stanęli za nią murem.

– Nie potrzebuję pomocy. Ani twojej, ani niczyjej. – Cormack spuścił głowę, a grupa wróciła do ogniska, którego nikt nie rozpalał. Las patrzył. Ocaleni zamienili kilka szybkich słów i odeszli, a Cormack znów został sam.

To ma być mój wybór?

Spojrzał na tabard. Na jedno mgnienie wspomnienie przywróciło mu dawną biel. Cormack stał na baczność, z wyprostowanymi ramionami, i czuł jego ciężar, jeszcze nowy, a już zasłużony. W głowie dźwięczał mu głos dowódcy, dumny i twardy, wychwalający jego zwycięstwa.

Cormack pamiętał, jak wierzył w sprawę Szkarłatnej Krucjaty. Pamiętał pewność, jaką dawała wiara, której nic nie mogło zachwiać. Teraz patrzył na to, co z tego wszystkiego zostało. Tabard wisiał na nim w strzępach, martwy relikt, tak jak on sam.

Cormack sięgnął do piersi, chwycił godło Szkarłatnej Krucjaty i zerwał je. Tkanina oderwała się od zbroi nierównymi pasami, a on bez namaszczenia upuścił ją na ziemię.

Wkrótce w ślad za nią poszedł młot. Spadł na ziemię całym ciężarem, z głuchym łoskotem. Cormack ruszył przed siebie, wpatrzony w coś, co widział tylko on.

Jakiś czas później tam, gdzie leżał młot, sięgnęła po niego czyjaś ręka, by go odzyskać. Była okaleczona, lecz podnosiła broń z nabożną czcią, jak relikwię.

Palec powiódł wzdłuż wytartego trzonka, wygładzonego przez długie lata wiernego używania i troskliwej pieczy; widać było, że ktoś

go kochał. Sunął dalej, aż zatrzymał się na płytkim rycie, który czas i dłonie niemal zatarły. Napis wyryła znajoma ręka, a słowa te były drogie każdemu paladynowi, który złożył przysięgę Świętej Światłości.

No'Darador.

Służymy.

Wzdłuż młota zamigotał nikły blask Światłości, gdy kobieta pomyślała o pierwszym właścicielu broni, jakby w oczekiwaniu na jego powrót.

Cormack stał na skraju własnego grobu.

Ziemia była rozkopana, rozdrapana od środka. Wrócił do świata żywych równie gwałtownie, jak go z niego zabrano. Otwarty grób wabił go ku sobie; Cormack klęknął i przesiewał palcami grudy na jego krawędzi. Nicość wołała go, mroczna i gościnna.

– Dziwne. Na tym nagrobku nie ma napisu „Cormack Tchórz".

Pogrążony w zadumie Cormack nie wyczuł, że ktoś nadchodzi. Nie miało to znaczenia. – Liczyłem, że ktoś tu zajrzy i zasypie mnie z powrotem ziemią – odparł, nie odwracając się do głosu.

– A to byłaby wielka strata – odpowiedział głos. – Całe życie ćwiczyłeś, by służyć innym, a nie po to, żeby się poddać, kiedy zrobi się ciężko.

Cormack obrócił się gwałtownie. Najpierw przyszedł gniew, a z nim zarzut. Najeżony. Gotów do walki. Jakby przez cały ten czas zmagał się właśnie z tym pytaniem: czy się poddać.

– A co ty możesz o mnie wiedzieć? – warknął.

Na ten widok gniew w nim ostygł. Głos wyszedł w księżycową jasność i stał się postacią. Stała wyprostowana, cała w swojej postawie, choć ciało całe już nie było. Włosy miała koloru zwiędłej róży, przycięte krótko, przy samej linii szczęki. Tak strzygą się ci, którzy spodziewają się bitwy, a nie podziwu. Fryzura praktyczna, przemyślana,

celowa. Zbroja mówiła to samo. Płytowa, wykuta niegdyś w głębokiej purpurze, dziś lśniła już tylko zmęczonym, przygaszonym połyskiem. Cormack widział, że nikt jej nie zaniedbał; to długie lata służby odarły ją z blasku. Domyślał się, że podobnie jak jej właścicielka nie miała lśnić, tylko przetrwać. Ale dopiero oczy nie zostawiały wątpliwości, kim jest. Oczy, w których była świadomość, lecz nie było życia. Martwa, tak samo jak on.

Ukształtowała ją śmierć, zahartowało przetrwanie, a naprzód niosło coś, czego nie dało się wyjaśnić. – Więcej, niż ci się zdaje – odparła spokojnie. – Mam na imię Danitha i ja wybrałam inaczej. Swój grób zasypałam – podjęła po chwili – zamiast do niego wrócić.

Cormack zacisnął pięść. Cisza między nimi się przeciągała. Wreszcie się odezwał: – Więc to był zły wybór.

– Albo trudniejszy – odparła, a Cormack odwrócił się do niej plecami.

– Prawdziwego wyboru nie ma – rzekł głucho. – Dla potworów takich jak my istnieje tylko to, co konieczne.

– Konieczne? Dla kogo? – spytała.

Uderzył się kościstą dłonią w napierśnik, aż szczęknął metal. Gniew wrócił. – Dla mnie – warknął. – Dla czegoś, co Światłość odrzuca? Czego boją się ci, których przysięgałem chronić? – Spojrzał w dół, w otwarty grób. – Tak.

Znów chwila milczenia. – Nie – powiedziała z naciskiem.

Cormack westchnął z udanym znużeniem, jakby już podjął decyzję. – Daruj sobie.

– Jak sobie życzysz – odparła. – Ale najpierw pomóż mi coś zrozumieć. – Podeszła bliżej. – Światłość cię odrzuca – powiedziała wprost. – Rozdziera cię za każdym razem, gdy ją wzywasz. A jednak, choć płacisz tak straszną cenę, wciąż ją wzywasz. Ciekawe – zakończyła.

Cormack zastygł w martwym bezruchu.

– Nawet ślepy by zobaczył, że się z tym zmagasz.

Cormack odpowiedział śmiechem. Krótkim, gorzkim, bez cienia wesołości. – Bierzesz całe życie ćwiczeń i wyuczonych odruchów za powołanie.

– A ty bierzesz to za szlachetność. – Przytyk wśliznął się w szczelinę pancerza, którym osłaniał duszę, i trafił w czułe miejsce. Odwrócił się ku niej, a w oczach tlił mu się gniew.

– Ja to widzę tak – ciągnęła. – Tylko dwie rzeczy chronią tych z nas, którzy mają wolną wolę, przed powrotem w nicość. Pierwsza: być dość silnym, żeby ustać na nogach, kiedy świat cię odrzuca. A druga? Mimo wszystko nie stracić woli walki.

Nienaturalny blask w oczach Cormacka zadrgał, gdy tłumił w sobie gniew, a ona mówiła dalej.

– Już dwa razy dowiodłeś, że to potrafisz. – Podeszła jeszcze bliżej. – To, co widzę przed sobą, znaczy o wiele więcej niż to, co leży za tobą.

Cormack przyjrzał jej się uważnie. – Czemu za mną szłaś?

Uśmiechnęła się lekko i rozłożyła ręce, wnętrzem dłoni do góry, jak ktoś przyłapany na kłamstwie. – Musiałam wiedzieć. – Przechyliła głowę. – Więc zaspokój moją ciekawość. Po co w ogóle znosisz Światłość?

Nie odpowiedział. Na to pytanie z zakamarków pamięci wypłynęły mgliste wspomnienia dumy, jak sen, który się wymyka, ledwie spróbujesz go sobie przypomnieć. Chwile, które za życia wiele dla niego znaczyły, a które przepadły, gdy umarł.

– Mój nauczyciel zawsze powtarzał, że paladyni mają być wzorem. Że mają walczyć za tych, którzy nie potrafią walczyć sami. Wbijał mi to do głowy po każdej lekcji.

Cormack podniósł na nią pytający wzrok. Te słowa brzmiały znajomo, jakby już je kiedyś słyszał, zanim zabrała mu je śmierć.

Powiedziała to zwyczajnie. – Twój ojciec. Gavinrad Potężny.

Świat Cormacka zatrzymał się i skurczył do tych kilku kroków, które ich dzieliły. Danitha powoli sięgnęła za plecy. – A tego, co ci dał – rzekła jakby mimochodem – nie wolno porzucać.

Młot bojowy uderzył o ziemię u jego stóp. Cormack wpatrywał się w broń, jakby widział ją po raz pierwszy. Wytarte rzemienie. Pęknięty obuch. I napis, który ojciec zostawił mu na trzonku. Zanim zdążył pomyśleć, ręka sama wyciągnęła się po tę zagubioną i odnalezioną cząstkę jego samego, by ją odzyskać. Dotknął.

Nagle wróciło wspomnienie. Ciepło. Uśmiech spod brody. Spokojny głos i pewna dłoń na drżących ramionach.

– Na tym świecie wiele jest spraw, na które nie ma łatwych odpowiedzi, synu. Kiedy zmagamy się z wyborami, małymi czy wielkimi, pamiętaj, że Światłość jest przy tobie. Ale musisz być gotów prosić ją o pomoc z całego serca.

Wspomnienie znów przepadło. W jego miejsce Cormack poczuł powołanie. Padł na kolana i po raz pierwszy od przebudzenia zaczął się żarliwie modlić. Prosił o drogę: o wyzwolenie od losu nieumarłego albo o siłę, by znieść go do końca. Światłość nie zwlekała z odpowiedzią.

Święta moc zajęła płomieniem każdy cal Cormacka. Szukała. Paliła. Pożerała. Każda cząstka jego istoty krzyczała, gdy Światłość wżerała się w martwe ciało żarem tak straszliwym, że Cormack uznał, iż oto otrzymał odpowiedź: ma spłonąć na popiół. Mięśnie kurczyły się i rwały, okaleczając go jeszcze bardziej. Umysł omal nie pękł pod ciężarem bólu, który go zalewał. Wszystko w nim wyło, żeby się bronić, żeby odrzucić to, co się z nim działo. Ostatnim strzępem zdrowych zmysłów Cormack powoli otworzył ramiona.

– Ojcze – wyszeptał tak cicho, że nikt nie mógł go usłyszeć.

Na jego błaganie pożoga Światłości zawirowała i rozgorzała jeszcze jaśniej niż przedtem, aż nagle zgasła, a między dwojgiem paladynów znów zapadła ciemność. Cormack nie śmiał się poruszyć. Ból, którym zapłacił za modlitwę, wciąż trwał w przeklętym ciele, lecz przesunął

się gdzieś w głąb. Zmienił się. Męka nie ustąpiła, ale pod nią kryło się coś zupełnie nowego.

Ciepło. Nadzieja. Błogosławieństwo samej Światłości.

Cormack szeroko otworzył oczy, olśniony. Dłonie mu jaśniały; Światłość tańczyła wokół palców, ale już ich nie pożerała, tylko łagodnie na nich osiadała. Leczyła. Poruszył palcami, uniósł dłoń do twarzy i dotknął martwej skóry. I po raz pierwszy od powrotu coś poczuł. Naprawdę poczuł. Zimna. Szorstka. Prawdziwa. Uniósł wzrok i wpatrzył się w Danithę.

– Nie jesteś w tym sam – powiedziała łagodnie. – Zasługujesz, by stanąć pośród nas, bracie.

Wyciągnęła do niego rękę. – Esarus no'Darador, synu Gavinrada. – Te słowa trafiły go głębiej niż wszystko, co dotąd usłyszał. – Krwią i honorem – powiedziała – możesz jeszcze służyć.

Słowa w dawnej mowie dźwięczały mu w głowie. Była to przysięga. Obietnica. Złożona za życia, wróciła do niego po śmierci. Cormack chwycił Danithę za nadgarstek, a ona powoli i pewnie pociągnęła go w górę; w drugiej dłoni mocno ściskał odzyskany młot. Kiedy napotkał jej uśmiech, coś w nim po raz pierwszy przestało się chwiać. Nie taki jak dawniej, nie bez skazy, ale cały. Cormack odszedł od grobu.

– Pokaż mi drogę do domu, siostro.

O tym wydaniu

„Nieugięty”. Tytuł oryginału: „Unbowed”. Autor: Sean Copeland.
Opowiadanie, jego bohaterowie i świat World of Warcraft są własnością Blizzard Entertainment, Inc. Wszelkie prawa do oryginału należą do Blizzard Entertainment.
To nieoficjalny, niekomercyjny przekład fanowski przygotowany przez projekt WoW Po Polsku (Loe'Aner). Projekt nie jest powiązany z Blizzard Entertainment ani przez nie wspierany. Przekład jest udostępniany bezpłatnie i nie wolno go sprzedawać.
Oryginał opowiadania jest dostępny bezpłatnie na stronie Blizzarda:
https://worldofwarcraft.blizzard.com/en-us/media/short-story/unbowed

Twórcy oryginału

STORY
SEAN COPELAND

ILLUSTRATION
SURFSIDE 3D

SENIOR DIRECTOR,

STORY & FRANCHISE DEVELOPMENT
VENECIA DURAN

SENIOR MANAGER, WRITING & BOOKS
MATTHEW COHAN

EDITORIAL SUPERVISOR
CHLOE FRABONI

SENIOR EDITOR
MEGAN WALKER

SENIOR BRAND ARTIST
SOPHIE ERB

SENIOR PRODUCER
BRIANNE MESSINA

PRODUCTION
CARLOS GARCIA RENTA, TAKAYUKI SHIMBO

GAME TEAM CONSULTATION
RAPHAEL AHAD, JOSHUA GREENFIELD, PHILLIP HILLENBRAND, JR., CHRIS METZEN, STACEY PHILLIPS, KOREY REGAN

LORE CONSULTATION
SEAN COPELAND

Blizzard.com © 2026 Blizzard Entertainment, Inc. Blizzard and the Blizzard Entertainment logo are trademarks or registered trademarks of Blizzard Entertainment, Inc. in the US or other countries. Published by Blizzard Entertain-

ment. This story is a work of fiction. Names, characters, places, and incidents are either products of the author's or artist's imagination or are used fictitiously, and any resemblance to actual persons, living or dead, business establishments, events, or locales is entirely coincidental. 2 Blizzard Entertainment does not have any control over and does not assume any responsibility for author or third-party websites or their content.